TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 45. *Chicago, Ills., 5 Maja, 1887 r.* Rok III.

NOC Z 3-go NA 4-ty GRUDNIA,

NA ZASADZIE AKT SĄDOWYCH

opisał

WALERY PRZYBOROWSKI.

(Ciąg dalszy.)

— Dziwna rzecz, czy mi się zdaje, ale ja takiego deseniu szal gdzieś widziałem, ale gdzie?

— Widziałeś pan? — spytał sędzia, ostrożnie panie doktorze, bo każę pańskie słowa do protokółu wprowadzić. Ostrożnie mówię, niech pan dobrze pomyśli, deseń to zwyczajny i szalów takich dużo na świecie. Więc po deseniu sądzić nie należy. Znajdź mi pan szal, któremuby tego kawałka brakowało, a choćby to była moja matka rodzona, każę ją przyaresztować. Inaczej proszę być ostrożnym.

Doktor zdziwiony nieco, spojrzał na sędziego i nic nie odrzekł, a kapitan dodał:

— Tak, ma pan sędzia racyą, takich szalów dużo na świecie. Każda kobieta zamożna posiada taki szal, po deseniu sądzić nie można.

To mówiąc weszli do domku grabarza.

III.

Domek grabarski stał niedaleko bramy wchodowej, przytykał do muru okalającego cmentarz i był oddalony od miejsca zbrodni, w prostej linii nie więcej jak dziesięć do piętnastu kroków. Składał się on z sieni, izby dość dużej i alkierza.

Wchodząc do sieni sędzia się zatrzymał i rzekł do kapitana:

— Masz pan dość ludzi na rozkazy?

— Mam dwudziestu.

— Wybierz pan proszę najroztropniejszych, każ im siąść na koń i poślij na wszystkie drogi. Niech wszędzie się pytają i śledzą dwoje ludzi mężczyznę i kobietę. Powiedz im pan, że mężczyzna jest ubrany w berlacze wełniane, brunatne—a kobieta w eleganckie buciki i ma

szal na sobie kaszmirowy. Trzeba im ten kawałek pokazać, żeby deseń zapamiętali. Ważna to jest rzecz... · Niech się pytają, czy nie widziano gdzie podobnych osób między 12 a 4 w nocy — każ im pan wreszcie tu przyjść, ja im to samo wyłożę i wręczę wezwanie do wszystkich władz tak cywilnych jak i wojskowych, by na żądanie dawano im niezwłocznie pomoc. Bo widzisz pan, panie kapitanie, zbrodnia to straszna, dokonana z niesłychanem zuchwalstwem i śmiałością, a kto wie, czy mordercy nie uszli już przed ręką sprawiedliwości — granica niedaleko, a w naszych burzliwych czasach nic łatwiejszego, jak się gdzie doskonale schować. Wszystko tu zależy od szybkości i energii w działaniu.

— Ale tak jest, tak jest — zaraz każę ludzi wezwać.

I wydał rozkazy.

Sędzia wszedł do izby zajmowanej przez grabarza. Izba miała dwa okna, była więc dobrze oświecona i prawie pusta. Oprócz stołu, ławy pod piecem, kilku łopat, motyk i sznurów, nic w niej więcej nie było. Przy piecu oparty o niego stał duży topór.

W drugiej stancyi było nędzne łóżko, stołek o złamanych nogach, skrzynia malowana jaskrawo i na ścianie obraz Matki Bozkiej Częstochowskiej czarny i okopcony. Było też tu nieco naczyń glinianych, dzban o urwanem uchu, miska, parę szklanek, łyżek, nóż stary składany i nic więcej.

Wniesiono trupa i położono na stole w pierwszej izbie. Doktor posłał po felczera, kazał rozpalić wielki ogień na kominie, przystawić garnek z wodą i patrząc w ognisko czekał, aż felczer przyjdzie i woda się zagrzeje.

Sędzia usiadł na ławie, kanceliście kazał rozłożyć materyały potrzebne do pisania i wezwał grabarza do protokółu. Grabarz stanął z miną buńczuczną, prawie zuchwałą i drwiącą — na pytania odpowiadał śmiało, z szyderskim uśmiechem.

Sędzia patrzał na niego nieco zdziwiony, ale wkrótce spostrzegł, że popełnił błąd gruby, może nie do naprawienia. Grabarz jeśli był winien, miał czas przyjść do siebie, opanować pierwotne wzruszenie — wiedział teraz, że pada na niego podejrzenie i ważne. Sędzia omylił się w tem, że od razu nie poprowadził inkwizycyi szybkiej, stanowczej, pod wpływem przestrachu jakim był przejęty grabarz na widok sądu. Ale stało się, pomyślał, teraz tylko trzeba złe naprawić.

Usunął się nieco w kąt, tak, że cień mu padał na twarz, gdy grabarza kazał postawić w świetle.

Rozpoczęła się indagacya — ten szereg pytań i odpowiedzi krzyżujących się ze sobą walczących zacięcie. Jest to pojedynek, straszniejszy może od istotnego. Tak, tu, jak i wszędzie, kto ma wprawę, ten zwycięża.

Po zwykłych pytaniach urzędowych, gdzie się rodził, jak się nazywa, ile ma lat, czy nie był kiedy karany, nastąpiły rdzenniejsze, poczęła się walka.

— Mój kochanku, mówił sędzia głosem słodkim, łagodnym, ile lat jesteś grabarzem?

— Dwa lata minie na święty Szczepan.

— A! dwa lata.... doskonale! proszę ja ciebie to dość długo w takim przykrym zawodzie i nie przykrzy ci się?

Nim podsądny mógł jeszcze odpowiedzieć na to pytanie, sędzia nagle zerwał się z ławy, szybko do niego przystąpił i kładąc mu rękę na ramieniu, spytał ostro:

— Coś robił tej nocy? mów! mów! coś robił?

Grabarz się zmięszał nieco — oczy wytrzeszczył... ale szybko przychodząc do siebie, odrzekł spokojnie:

— Spałem proszę wielmożnego sędziego, spałem bo gdy się człek cały dzień ciężko napracuje to i śpi potem.

— A! spałeś.... i kiedy dowiedziałeś się że zbrodnia została popełniona?

— O! już było dobrze rano — może o 8-ej, chodziłem po cmentarzu i czyściłem groby, gdy przyszedł mój kum Walusiak i powiedział mi, że kupa luda się zeszła, bo tam pod murem trup leży.

— Aha! i ty nic nie słyszałeś w nocy, żadnego krzyku? nic?

— Owszem słyszałem, ale myślałem że się ta kto upił, to i krzyczy — i spałem tak mocno, żem jeno krzynę słyszał.

Tłómaczenie było takie jakie sam sędzia dawał, tłómacząc się dla czego nie poszedł uliczką, gdy usłyszał krzyk — nie można mu było nic zarzucić.

— To ty dziwnie mocno śpisz kochanku... proszę ja ciebie, więc ty rano dzisiaj koło 8-ej

chodziłeś po cmentarzu i czyściłeś groby czy tak?

— A tak proszę wielmożnego sędziego.

— Pierwsze o tem słyszę, żeby kto w zimie czyścił groby.

— Ja też jeno ze śniegu omiatałem i ścieszki porobiłem.

— A więc nie słyszałeś w nocy żadnego krzyku?

— Słyszałem ale krzynę.

— I nic nie wiesz o tej zbrodni?

— Nie!

— Gdzie jest twój kum Walusiak?

— Mieszka w mieście.

— Żandarmi! sprowadzić mi tu tego Walusiaka, a grabarza odprowadźcie do sieni i na krok go nie odstępujcie.

Nadszedł felczer i wziął się do trupa. Obmyto mu najprzód głowę i twarz: mężczyzna to był młody, nie więcej nad dwadzieścia kilka lat liczący z czarnymi włosami i wąsem, twarz wyrażała nieopisaną grozę i przerażenie zastygłe wśród gwałtownej śmierci. Co się tyczy rany, cały tył głowy strzaskany był tępem narzędziem tak silnie, że mózg wyprysł i na wierzch pomięszany z kośćmi wychodził. Okrom tego, miał pięć ran na szyi, piersiach i brzuchu, wszystkie z przodu, ostrem narzędziem zadane. Prawa ręka też w paru miejscach mocno była pokaleczona.

W kieszeniach znaleziono sakiewkę pełną srebrnej i złotej monety, ale nic więcej. Boczna kieszeń od bekieszy była wywrócona; znać po morderstwie coś z niej wyjęto, może jakie papiery. Pieniądze w sakiewce wynosiły około sześćdziesięciu rubli. Zresztą nic innego nie znaleziono. Bielizna na denacie była cienka i biała — sukno także na bekieszy drogie — baranek krymski, co dowodziło, że był człowiekiem wyższej klasy, może zamożnym. Na koszuli odszukano znaki. Dwie litery Z. W. widocznie początkowe nazwiska.

Lekarz zakonkludował, że śmierć nastąpiła najprzód z silnego uderzenia w czaskę — rany na tułowie były późniejsze, niektóre nawet po śmierci już zadane.

Sędzia zadumał się.

— Z tego wszystkiego, rzekł, niewiele wiemy. Nie wiemy czy morderstwa dokonano dla rabunku, bo być może, iż w bocznej kieszeni bekieszy kryła się znaczna suma pieniędzy, którą wzięto, nie dbając o resztę drobniejszą w sakiewce. Mimo to, ja sądzę że tu nie o rabunek chodziło. Mam też po temu swoje powody.

Nadeszli żandarmi gotowi do drogi, którzy mieli ruszyć na wszystkie trakty dla śledzenia morderców. Sędzia wręczył im przynależne papiery, wytłómaczył o co idzie, pokazał kawałek szalu i kazał jechać.

Potem wprowadzono mieszkańców najbliższych domów. Wszyscy byli mocno przerażeni i nikt nic nie wiedział, dopiero piekarz mieszkający najbliżej cmentarza wyznał, że słyszał krzyk.

— Słyszałeś pan krzyk? i co pan słyszałeś?

— Proszę pana sędziego to tak było. Piekłem całe popołudnie chleb z moją czeladzią i przeciągnęło się to do północka; o północy wyszedłem na podwórze, gdy w tem słyszę od strony cmentarza straszny krzyk: ratunku! ratunku! kto w Boga wierzy! Tedy przeraziłem się wielce, zawołałem czeladzi, bo i oni ten krzyk w piekarni słyszeli i powybiegali na dwór — i pytamy się siebie, co to jest? Aleśmy nic nie widzieli, a mnie się zdało, że to kogo mordują, bo krzyk był to okropny. Tedy ja mówię: wiecie co chłopcy, jest nas pięciu, weźmy kije, drągi, siekiery, co kto może i chodźmy. Zgoda! zawołali, więc wzięliśmy co kto mógł i wychodzimy na drogę. Ale zimno było i wiatr wył przenikliwy, a śnieg zasypywał nam oczy. Strach mię trochę wziął i mówię: a nuż ich tam jest dużo i koło cmentarza po nocy chodzić niebezpiecznie. A tak, odpowiedzieli — wróćmy lepiej do izby, jeszcze nas potem po sądach będą włóczyć. Więc wracamy się, ile że wokoło było cicho i nic słychać nie było, a świata nawet na trzy kroki dojrzeć nie mogłem, taka była zawieja. Kiedyśmy już do bramy dochodzili, aż w tem wiatr przyniósł turkot kół na trakcie. Stanęliśmy i słuchamy — pojechał dalej, ale widocznie od cmentarza ruszał. Więcej nic nie wiem, aż dopiero rano dowiedziałem się o tem co zaszło.

Wypytano się czeladników — zeznania były zgodne. Piekarz wreszcie znany był w miasteczku jako człowiek uczciwy i zamożny.

— Szkoda, wielka szkoda, rzekł sędzia, żeś pan nie poszedł, pięciu was takich tęgich chłopów, bylibyście morderców schwycili na gorą-

cym uczynku, ile, że tam było tylko dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Ale stało się! podpisz pan protokół.

Piekarz podpisał i wyszedł — wprowadzono onego kuma grabarza, Walusiaka. Chłop to był mały, chuderlawy, szczupły, obdarty i patrzał z podełba.

— Jak się nazywasz? spytał sędzia.

— Ignacy Walusiak, proszę wielmożnego sądu.

— Czem się trudnisz?

— Wyrobnik jestem — chodzę na robotę, na jesień nawet u wielmożnego sędziego rąbałem drzewo.

— Byłeś dziś o 8 ej rano na cmentarzu?

— A byłem.

— Po co byłeś?

— Przyszedłem do mego kuma Postracha, bo my to kumy jesteśmy.

— Ale po co przyszedłeś?

— Ano jakem się dowiedział, że tu jakiegoś pana zabili, takem poszedł na cmentarz do Postracha, żeby go się wypytać, czy on co nie wie.

— A gdzieś go zastał?

— A tam przy tym grobie wielkim, co tam w kącie stoi.

— Co on tam robił?

— A nic, jeno stał i patrzał.

— Który to grób? pokaż mi go.

— O! widać go z okna, tam w kącie proszę wielmożnego sędziego.

— Cóż ci Postrach powiedział, jak go się spytałeś?

— A powiedział, że on nic nie wie.

— A potem coście robili?

— Potem poszliśmy do trupa, ale żandarmi nie dopuszczali, jeno zdalekaśmy go widzieli?

— Umiesz pisać?

— Nie, nie umiem proszę wielmożnego sędziego.

Sędzia rzekł:

— Zaprowadź nas kochanku do tego grobu, gdzie zastałeś Postracha.

Wszyscy ruszyli na cmentarz. Był to grób duży, murowany, przykryty wielką marmurową płytą, stary, jakiejś zamożnej niegdyś rodziny wygasłej, to też w nim nikt się już nie chował. Sędzia oglądając grób, zauważył koło niego parę śladów, całkiem podobnych do tych, jakie spostrzeżono koło trupa; ślady butów niezgrabnych, ćwiekami podbitych. Ślad był głęboki, wyraźnie wyciśnięty w śniegu.

— Mamy go, szepnął i wskazał kapitanowi, więc widocznie dostał się na cmentarz.

— Szukajmy dalej, może znajdziemy gdzie ztąd poszedł, rzekł kapitan.

Ale nic nie znaleziono.

— Trzeba Postracha aresztować, tak grób jak i mieszkanie jego opieczętować i straż przy nich postawić. Po południu otworzymy grób i zrobimy rewizyę w mieszkaniu Postracha, bo teraz już ledwie żyję — jeszczem nic w ustach od rana nie miał i zimno mi.

Opieczętowawszy grób i mieszkanie, ruszono do domu. Postrach został zaprowadzony do więzienia. Sędzia zaprosił do siebie na śniadanie lekarza i kapitana.

IV.

Wszyscy trzej byli głodni, więc jedli milcząc, ile że i było o czem myśleć. Zbrodnia ta niesłychana, tajemnicza, wstrząsła całem miasteczkiem do gruntu, które ciche, mało znane, pędziło sobie swój żywot na pół sielski na pół miejski. Najstarsi ludzie nie pamiętali nic podobnego.

Milczenie panujące między trzema śniadającymi przerwał kapitan.

— Ja myślę panie sędzio, że już teraz nie mamy nic do roboty — trzeba czekać na powrót moich ludzi. Może im się uda co odszukać, jaki ślad.

— Być może, iż jaki znajdą, boć niepodobna przelecić nocą kilka mil na bryczce, żeby kto nie widział, ale wątpię, żeby nam co z tego przyszło. Czekać zaś nie mamy co na powrót żandarmów, musimy załatwić wprzód to, co jest do załatwienia. Pójdziemy jeszcze raz na cmentarz i rewizyę zrobimy w mieszkaniu grabarza.

— Czy sędzia masz jakie podejrzenie na tego człowieka, spytał doktor, bo mnie się zdaje, że on nie jest bez winy. Cóż bowiem robił

dziś rano przy owym grobie, przy którym znaleźliśmy ślad jednego z morderców?

— A jak się panu zdaje, co on tam mógł robić?

— Co? a toć to jest rzecz widoczna. Poszedł zatrzeć ślady, lecz nie zdołał tego zupełnie dokonać, gdyż mu przerwał tę robotę Walusiak.

— Bardzo dobrze, ale co te ślady robiły przy owym grobie?

— A tego to już ja nie wiem, nie jestem Duchem Swiętym — trzeba grób otworzyć, może tam co schował.

— Zapewne, to się zobaczy. Ja podejrzenia jeszcze na nikogo nie mam. Szukam, macam, może się czego domacam. Zbrodnia ta nad wyraz zuchwała, pod samem miastem dokonana... ale kto ją popełnił? nie wiem, ani też domyślać się mogę.

— Kochany sędzio, przerwał doktor, jesteśmy tu sami w przyjacielskiem kółku. Sędzia zdjąłeś ze siebie mundur urzędnika i jesteś w tej chwili zwyczajnym obywatelem. Otóż wiesz u kogo ja szal taki widziałem, jak ten urwany kawałek w rękach denata?

Sędzia pobladł i spytał gwałtownie:

— U kogo? u kogo? mów pan?

— Może to prosty zbieg okoliczności, szalów takich w istocie jest dużo i nic wreszcie zwyczajniejszego jak widzieć podobny szal u kobiety. A jednak dziwna rzecz, desen ten sam, zupełnie taki sam, widziałem u panny Maryi Z***.

— Co pan takie rzeczy mówisz? porwał się gwałtownie sędzia, jakto? panna najzacniejszego domu! córka najpoczciwszych rodziców!... ale wybij pan sobie to z głowy i nie odzywaj się z niczem podobnem.

— Ale naturalnie, dodał kapitan, jak też to można na taką pannę rzucać podejrzenie. Kto wie czy i moja żona nie ma takiego szalu, a ręczę panu, że o 12-ej w nocy w łóżku była i wcale co innego robiła.

I zaśmiał się kapitan.

— Ależ moi panowie, czyż ja podejrzywam pannę Z***, broń mię Boże — nie, tylko powiadam, żem taki szal u niej widział.

— Zmusisz mię pan do tego, że każę aresztować pannę Z***, zawołał sędzia.

— Dajże pokój sędzio, to sensu nie ma za grosz, rzekł kapitan.

— Nakoniec, ja panu dam dowód, mam na to świadków, że panna Z*** na dziesięć minut przed dwunastą była w domu. Przecież wczoraj grałem tam w preferansa, dodał sędzia.

— Ale nie ma o czem mówić, zawołał kapitan wstając — więc idziemy sędzio na cmentarz?

— A idziemy, idziemy.

Wychodząc zatrzymał się w progu i rzekł do doktora.

— Proszę cię konsyliarzu zostaw to przy sobie, cośmy tu mówili i nie rzucaj plamy na białą duszę panny Z***.

— Ależ mój sędzio wy mię nie rozumiecie wcale, czyż ja ją podejrzywam? Prosty zbieg okoliczności i basta.

— Jaki zbieg okoliczności, gdzie go pan widzisz? spytał sędzia.

— A no daruj, ale że panna Z*** ma taki sam szal, to głową moją ręczę.

Sędzia zatrzymał się, popatrzył na doktora i rzekł:

— Dobrze! zobaczymy — pan nie sądź, że ja się dam powodować jakimi względami. Nie zapominaj też, że w tej chwili gdy jestem przy śledztwie, reprezentuję nietylko sprawiedliwość, prawo państwowe, ale społeczność ludzką dotkniętą w swym najdroższym interesie, bo bezpieczeństwie osobistem; że mam taką władzę, iż gdybym chciał i gdyby mi potrzeba było, mogę wezwać przed siebie najwyższych dostojników, bom jest prawem i ręką Bożą w tej chwili. A teraz chodźmy.

Doktor spojrzał nieco zdziwiony na sędziego, uśmiechnął się szyderczo i spytał:

— Czy ja panom jestem jeszcze potrzebny?

— A jakże? musisz pan przecie sekcyę odbyć.

Na cmentarzu zastali wszystko w porządku. Rewizya odbyta w domu grabarza nic nie odkryła podejrzanego. Na górze pod dachem znaleziono jednak kilka sukman chłopskich, jakąś szkaradną pleśnią pokrytych, kilka czapek, butów i wielki topór w kąt rzucony. Sędzia kazał sobie podać ów topór. Był czysty, świecący, bez plamki.

— Dziwna to jednak rzecz, zkąd on ma tyle sukman i to rozmaitych, jedne większe, drugie mniejsze — przecie to nie na niego robione. Zkąd on ma? pytał kapitan.

— Trzeba to wszystko zabrać i odnieść do sądu, rozkazywał sędzia, dziwnie zamyślony, drżący, przerażony jakiś wewnętrznie.

— Slicznych rzeczy się dopytamy, szeptał patrząc jak zabierano rozmaite te efekta.

Udano się do grobu, oderwano pieczęcie, podważono wielką płytę marmurową i ujrzeli wielki loch ciemny, do którego kilka schodów prowadziło.

Sędzia kazał przynieść światła, poczem spuszczono się do lochu. Loch to był stosunkowo dość wielki, sklepiony, wilgotny i cuchnący. Stały w nim dwie trumny zbutwiałe, pleśnią pokryte zieloną i rozpadające się prawie. Na jednej z nich dostrzeżono latarkę ze świecą wewnątrz niedopaloną.

— A więc tu ktoś bywa i świecę ma pod ręką? wołał kapitan.

— Któżby mógł bywać jak nie grabarz, odrzekł sędzia.

Zajrzano do trumny. Tam w kącie stały najprzód buty, grubo krwią pobryzgane, ćwiekami podbite, widocznie te same, których ślad koło ofiary morderstwa znaleziono.

— A szelma! zgrzytnął kapitan — więc to on jest tym mordercą, a! łajdak, pasy z niego drzeć!

— Co tam jest więcej? pytał sędzia.

Żandarm podniósł najprzód kożuch także krwią powalany, poszarpany gwałtownie, dalej spodnie i koszulę, wszystko obficie krwią zlane.

— Zbójca! szepnął sędzia — po morderstwie tu pochował suknie, które mogły go zdradzić, miał zamiar je suszyć, ale mu już czasu nie starczyło. Ano, rzecz skończona.

Zamknięto loch i wszyscy wyszli na ziemię. Sędzia odetchnął głęboko.

— Mamy więc jednego mordercę, znajdziemy i dwoje innych. Kochany kapitanie, polecam twej pamięci tych dwoje, każ ich śledzić dopóki będzie można. Proszę cię przyślij mi za godzinę do sądu tego żołnierza, który pierwszy spostrzegł morderstwo. A teraz do widzenia panowie!

I odszedł. Idąc zatrzymywał się co chwila i szeptał.

— Okropność! okropność!

Szedł z głową spuszczoną, z rękami w tył założonemi, nie zważając na nic, nie widząc jak mu się kłaniano, jak go się dopytywano po drodze o szczegóły morderstwa. Nic nie odpowiadał, albo zbywał krótko pytających i szedł dalej.

Stanąwszy przed domem w którym miał swoje biuro, zatrzymał się i spytał:

— Ale co ona tam robi, jaki udział ma w tem wszystkiem ta anielska dusza?

— Ach ten szal, ten szal! dodał po chwili i wszedł na piętro po schodach, potykając się co krok prawie.

Wszedłszy na korytarz sądowy nie odpowiedział nic woźnemu, który mu się kłaniał i mówił dzień dobry — nie oddał mu futra, laski i czapki, jak to zwykł był czynić, ale wprost wszedł do swej kancelaryi i rzucił się na fotel przed biurkiem, głęboko zamyślony.

— Co u djabła panu sędziemu się stało? szeptał woźny.

I wszedł za sędzią i począł kaszleć. Sędzia podniósł głowę i rzekł:

— A to ty! czemu nie odbierzesz odemnie futra.

— Chciałem, ale pan sędzia tak szybko przeszedł.

— Weź! czy jest już Łopatkiewicz?

— Jest panie sędzio.

— Niech tu przyjdzie, i.... każ przyprowadzić grabarza.

Gdy woźny wyszedł, sędzia począł przechadzać się wielkimi krokami do pokoju, z głową spuszczoną, z czołem zmarszczonem.

— A! jak ja z tego wybrnę? pytał i stając przed oknem, patrzał przed siebie.

Wszedł Łopatkiewicz kłaniając się pokornie, usiadł przy stole na przeciwko biurka sędziego i począł pióra temperować.

— Cóż pan myślisz o tem wszystkiem panie Łopatkiewicz? spytał nagle sędzia.

— Co ja myślę panie sędzio?

— Tak.

— Hm! myślę, że grabarz jest winien.

— No, to i ja o tem wiem, i odwrócił się, siadł przy biurku i począł przeglądać jakieś akta. Niedługo wszedł woźny.

— Panie sędzio grabarz czeka!

Wzdrygnął się sędzia, spojrzał na woźnego i wstając rzekł:

— Niech wejdzie!

Grabarz wszedł z miną zuchwałą, bezczelną, z okiem iskrzącem się — i zaraz na wstępie i rzekł:

— Panie sędzio! dla czego mię pan każesz

więzić, czy to ja złodziej albo morderca?

— Tak! jesteś mordercą.

Grabarz cofnął się nieco w tył i pobladł, oczy swoim zwyczajem wytrzeszczył, lecz szybko się opamiętał i rzekł:

— Ja mordercą! O! niech mię Bóg ciężko skarze, jeślim ja kogo zabił.

— Milcz! nie przysięgaj i nie wzywaj Boga za świadka, bo ten Bóg cię skarze. A teraz odpowiadaj na pytania. Ostrzegam cię, że tu idzie o ważne rzeczy. Coś robił dziś o 8-ej rano na cmentarzu przy murowanym grobie?

— Powiedziałem już raz żem go czyścił i ścieżki deptał, bo śnieg w nocy pozasypywał wszystkie drożyny.

— Czy tobie płacą za czyszczenie grobów?

— A juści że płacą, kto chce mieć grób porządnie utrzymany, ten musi zapłacić.

— I któż ci płaci?

— Jakto kto? juścić familia nieboszczyków.

— Widzisz jak kłamiesz, mówiąc żeś czyścił grób murowany, przy którym cię Walusiak zastał — albowiem nie mogłeś go czyścić dla tego, że z familii tych dwóch trupów co tam leżą, już nikt nie żyje, nie ma więc kto płacić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ita Hrabina na Toggenburgu.

Historya prawdziwa z XII wieku,

wielce nauczająca — osobliwie dla niewinnie cierpiących,

— przez —

KRZYSZTOFA SZMIDA

przepolszczona przez Ks. E. W.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ X.

Henryk wypycha od siebie niewinną Itę.

Henryk, którego zaciekłej namiętności spełnienie tego okropnego wyroku przyniosło uciechę, lecz jeszcze jej nie nasyciło, udał się teraz do pokoju swej małżonki odprowadzony aż do jej drzwi przez Dominika, wyrodnego zabójcę niewinności. Ita zatrudniona robotą z swojemi pokojowemi kobietami, nie wiedziała nic o całym okropnym wypadku — ale skoro tylko swego małżonka nagle z hukiem i trzaskiem wchodzącego zobaczyła, nie mogła nic innego wnosić, jak tylko, że panująca dzika jego namiętność wybuchła. Lecz nie zmieszało ją to bynajmniej; powstała, poszła na przeciw niego, aby go, z uszanowaniem i miłością powitać, — on zaś, zamiast jej oddać na wzajem powitanie, odepchnął ją od siebie. Ita, dygocząc na całem ciele i prawie omdlała, nie mogła ani słowa wymówić. Henryk wybuchł natychmiast, miotając na nią najszkaradniejsze obelgi. ,,Bezwstydna, niewierna cudzołożnico!" tak do niej przemówił, ,,czyż zasłużyłam sobie na to u ciebie?" Te słowa jak piorun uderzyły znękaną duszę niewinnej Ity; chciała stanąć w obronie swej niewinności i sławy, lecz nie mogła przyjść do słowa, ruchami ciała tylko i westchnieniami zapewniała go o swej niewinności. Lecz Henryk cały jak szalony, obrzucał ją najhaniebniejszemi przezwiskami, nie słuchał jej smutno narzekającego głosu, nie zważał na święte przysięgi swej małżonki. Ita upadła wreszcie przed nim na

kolana, z rękami ku niebu wzniesionemi raz jeszcze zaprzysięgła swą niewinność w obec Boga, prosząc na wszystko o wysłuchanie jej uniewinnień. Wszystko było nadaremnie; Henryk stał się głuchym i nie czułym dla swej małżonki — nie wysłuchał wzruszającego błagania niewinności, któreby kamień zdołało było zmiękczyć. Namiętność jego przeszła w wściekłość; rozjadły jak tygrys porywa swą małżonkę i wołając: „Oto masz zasłużoną nagrodę twych czynów haniebnych" — cisnął ją z wysokiego zamku, zbudowanego na dziesięćkroć razy wyższych skałach, w okropną przepaść; mniemając w szaleństwie swego gniewu, że tym niesprawiedliwym czynem swą sławę ocalił i zbrodnie wedle zasługi ukarał. Ani spojrzał za niewinną — rozjadły opuścił jej pokój, drzwi i okna zatrzęsły się za nim po całem zamku, i usiadł w kącie swego pokoju, dozwalając swej zaciekłej złości nacieszyć się z swego zwycięztwa. Ludzie zamkowi umykali przed nim ze strachu i każdy jak mógł, ukrył się w kącie. Dręcząca głęboka cisza opanowała zamek, nikt się nie poważył przemówić słowa. Wszyscy rozpływali się we łzach, przekonani o niewinności hrabiny, i byli tego zdania; że hrabia to uczynił albo w zaślepieniu swej namiętności, albo też oszukany przez kogoś. Gdy zaś nikt pomiędzy nimi nie wiedział piewszej przyczyny tych dwóch zabójstw, a mała liczba tych, którym zdarzenie z pierścieniem było wiadome, w prostoduszności swej ani pomyśleć mogła, że pierścień miałby być przyczyną śmierci hrabiny (bo wszakże każdy musiał ją mieć za nieżywą) i giermka Kuna, zapomnieli wkrótce zupełnie o tem w ich oczach mniej ważnem zdarzeniu z pierścieniem, będąc świadkami okropniejszego zdarzenia, zabójstwa spełnionego na hrabinie. Dominiko mógł się teraz nacieszyć do woli z swego tryumfu. A ponieważ się wszyscy ludzie zamkowi smucili, on wewnątrz tylko mógł się radować, pasąc swe oczy zdradliwe pod oknami zamku widokiem krwawych śladów, które Kuno na skałach i krzakach po sobie zostawił. Ani mu przeszło przez myśl zapewne, że niewinność i cnota mogą jeszcze na tej ziemi odnieść zwycięztwo nad jego zbrodniami. Niedługo jednak mógł znieść widok krwi niewinnie wylanej, która na niego o pomstę do Nieba wołała. Zamyślony opuścił okna i zaczął nad tem rozmyślać, jakby najlepiej swego pana w tem mocnem przekonaniu utwierdzić, że Ita i Kuno wedle surowych zasad sprawiedliwości, jako winni zasłużyli na straszliwą karę, która ich spotkała.

Aby się jego obłuda przez rozmaite ludzkie uwagi i gadania o tym wypadku nie wyjawiła, wymógł swą przebiegłą wymową na hrabi, że wydał wyraźny rozkaz ogłoszenia przyczyn w zamku i po za obrębem tegoż, dla których sobie Ita i Kuno na okrutną karę śmierci zasłużyli. Niedługo też ten rozkaz został spełniony.

Wielu z pomiędzy sług i poddanych uwierzyli tym fałszywym oskarzeniom, którym nie zapomniano nadać pozoru prawdy. Kochali albowiem swego hrabiego i uważali go za poczciwego i sprawiedliwość miłującego pana. Lecz byli i tacy, którzy znali lepiej panującą namiętność hrabiego i przebiegłość zausznika Dominika. Ci przekonani o niewinności i pobożności Ity, nie chcieli wierzyć, żeby była zdolną popełnić, co jej zarzucano; nie mogli więc być przekonani, że sobie sprawiedliwie z nią postąpiono. W ich oczach, Ita była niewinną, a niejedna łza spłynęła w hołdzie jej pamięci.

ROZDZIAŁ XI.

Bohaterska cnota Ity wśród nieszczęścia i niebezpieczeństwa.

Czyliż więc prośby Ity miały być nie wysłuchane za życia? Henryk odurzony, nie dbał wprawdzie na głos niewinnej swej małżonki. Tem zupełniej wysłuchał Bóg szczere błagania wiernej swej służebnicy, gdy ta siebie i całe swe położenie, będąc w rękach rozgniewanego Henryka, a nawet lecąc w przepaść Bogu polecała i ślubem postanowiła odtąd tylko dla Boga, dla Jezusa żyć lub umierać i stać się własnością jego na wieki. Tą myślą była zajęta aż dopóki ją zmysły i przytomność nie odstąpiły. Bóg jednak nie uznał jeszcze cnoty Ity za dosyć dojrzałą, by teraz już nagrodzoną była radością uciech niebieskich, które jej na później zgotował. Chciał doświadczyć jej cnoty, zawyrokował, by wspanialej jeszcze zabłysła w oczach ludzi. Zachował Wszechmocny swą wierną służebnicę w

chwili, gdzie jej nikt życia nie sądził, kto wiedział, iż była ciśnięta z wysokości czterech set łokci w przepaść okropną.

Ita po okropnem spadnięciu zaczęła odzyskiwać zmysły, jak gdyby po jakim ciężkim śnie, wątpliwa zrazu, czyli jest jeszcze żywa na świecie, czy też już na łonie wieczności. Powoli świadoma siebie, przez mgłę osłabionych oczu ujrzała się w pośrodku krzaków i drzew z jednej i wysokich skał z drugiej strony. Dopiero gdy spojrzała do góry i zamek poznała, wróciła jej pamięć wypadków, i zaledwie dała wiarę, iż jeszcze żyje. Lecz przekonała się o tem, rozpoznając okolice. Uznała, że jedynie niepojęta wszechmocność Boga przy życiu ją zachowała. Podziwiając niewypowiedzianą dobroć Jego, przejęta chwałą wszechmocności Bożej, ugięła słabe kolana a wdzięczne jej serce przesłało do Nieba najszczersze podziękowania za wielkie dobrodziejstwa oczywistej ojcowskiej pomocy.

„Ten, któremu mnie na świecie powierzyłeś, ten mnie odepchnął i żądał mej śmierci doczesnej; do Ciebie więc Wszechmocny! zwracam uczucia ufnego dziecięcia z prośbą, być mi dla Ciebie jedynie żyć lub umierać pozwolił tak, jak to już postanowiłam. Tyś mnie cudem zachował. Twoją więc i niebios jestem odtąd własnością. Nic mnie więcej nie łączy ze światem. Pozwolone mi odtąd dni życia w całości Tobie poświęcam. W samotności, zdaleka od ludzi, skarbów i uciech doczesnych, w pobożności i bojaźni pragnę spędzić ostatek życia.“

Za chwilę przyszło jej na myśl: „Gdyby mnie Bóg tej godziny przed surowy sąd swój powołał, gdziebym też teraz była?“ A gdy sobie przypominała, iż w chwilach upłynionych życia, gdy jeszcze opływała w dostatkach, niezupełnie była doskonałą, żal, iż w niewiadomości swej mogła się błędu dopuścić, łzy jej wycisnął. „Przebacz Ojcze i Boże mój! przebacz nam wszystkim winy nasze. Wszakżeś nam obiecał przebaczyć, jeśli my przebaczamy. Oto ja odpuszczam i zapominam w obec Ciebie, najlepszy Boże! memu Henrykowi, iż się tak srogo obszedł ze mną. Wszakże go oszukano, jak się to ułomnym ludziom często zdarza; inaczej nie byłby zapewne zdolnym takiego przestępstwa. I tym przebaczam, którzy go zdradą podeszli i mnie czernili. Przebacz im i Ty o Boże! nie wiedzieli zapewne sami, co czynią — więc jeszcze raz wołam do Ciebie Panie: Odpuść nam nasze winy! mnie zaś szczególniej przebacz mój ojcze! błędy i winy tak, jak i ja bliźnim moim z serca przebaczam. Strzeż mnie od pokus i zachowaj od grzechu każdego.“

W spojrzeniu jej, jeśli je zwróciła ku pysznemu staremu zamkowi, ujrzałbyś był niezawodnie litość przeglądającą. Bo wtenczas mogło jej przyjść na myśl, że Henryk, którego jeszcze kochała wspomnieniem chwil przeżytych z nim szczęśliwie, popadnie wyrzutom sumienia, że sługi swe poczciwe zostawiła po sobie w smutku i boleści. Może niejedna łza jej pamięci popłynie, może niejedno westchnienie uleci do Boga, by jej duszy wiecznego odpoczynku udzielił. Zrządzenia Boże w jej życiu przejęły ją zadowolnieniem, cieszyła się z swego dotkliwego położenia, tak smutnego w oczach świata. Czuła się bowiem obok utraty dóbr doczesnych w posiadaniu najwyższego dobra niebios. Mając to, o tamtych łatwo mogła zapomnieć. Czyste sumienie i łaskę Bożą: te dwa dary niebios, za skarb najdroższy uznało jej serce; i tego skarbu nie pozbyłaby była w zamian za najszczęśliwsze nawet życie wśród wspaniałego zamku.

ROZDZIAŁ XII.

Ita obiera miejsce przyszłego pobytu.

Słuszną była obawa Ity, że gdyby pozostała w bliskości zamku, pobyt jej stałby się mniej bezpiecznym. Łatwo mógłby ją kto spotkać, a natenczas możeby znalazła przeszkody w wypełnieniu swego postanowienia, które Bóg uświęcił, możeby nawet doznała sroższych obelg i męczarni. Zebrała siły i zapuściła się w gęstwinę lasu, — ufna, iż ją Bóg poprowadzi i zasili. Nadspodziewanie pomyślnie odbywała podróż wśród bezdroży ciemnego lasu. I w tem także spostrzegła jawną i cudowną opiekę Boga nad sobą, podobnie jak w ocaleniu swego życia. Im dalej biegła, tem się bardziej w las zapuszczała aż w końcu słońce zachodzące wstrzymało jej dalsze kroki.

Ciemności nocne pokryły ziemię. Niewinna, nieskalana Ita w lesie niezmierzonem bez posil-

ku, bez miejsca przytułku, zdaleka od ludzkich zamieszkań i siedzib, gdzieby mogła znaleźć spoczynek, wszystkiego brak, coby wedle ludzkiego zdania osłabionemu ciału rzeźwości nadać, lub zatrworzonego ducha uspokoić mogło. I te cierpienia, chociaż niewinna, chociaż nie odstąpiła cnoty, ponosiła dla tego jedynie, iż wolała sama raczej popaść w niedolę, niż się przyczynić do innych nieszczęścia. Wszak mogła była odkryć Henrykowi, jak ją napadł zbrodniarz Dominiko, a nie byłaby uległa tak okropnym cierpieniom. Lecz stateczność, cnota i chrześciańska łagodność spowodowały ją, że na wzór Boga zguby Dominika nie pragnęła, lecz aby się nawrócił i poprawił. Zwykła nagroda tego świata i jej się dostała; była prześladowaną dla swej poczciwości. Ależ za to spełniły się na niej święte słowa błogiego wyroku Jezusa Chrystusa, Zbawiciela naszego: "Ci, którzy dla sprawiedliwości swej cierpią prześladowanie, mogą być pewni, że po śmierci wprawdzie oczekują ich radości niebios, lecz już za życia w prawdziwem zadowolnieniu i niebieskich pociechach użyją nadziemskiej błogości." Prawdę tego wzniosłego wyroku Ita na sobie samej doświadczyła. Wśród najsmutniejszego położenia, gdzie wszelka przenikliwość ludzka byłaby pewną zgubę przewidywała, a wedle świata roztropny byłby rozpaczał, pobożna i niewinna Ita nabrała ducha męzkiej odwagi. Otoczona ciemnościami nocy, jeszcze raz przebacza z duszy serca Henrykowi i tym, którzy się przyczynili do jej odepchnienia; błaga Boga by im przebaczył, oddalając na zawsze wszelkie niechętne myśli z swej duszy. Kończąc wreszcie modlitwę polecenia samej siebie opiece Najwyższego, znużona upadła na ziemię.

Podobnie jak Zbawiciel, nie miała gdzie położyć znużonej głowy. Lecz nad wygody świata lepsze ten rzeczy posiada, kogo Bóg wspiera, zasila i pociesza.

Sen łagodny zakrywał znużone powieki Ity. W tej samej chwili na zamku Toggenburgskim niewinnych udręczały troski, smutki i współczucie; winnym zaś dopiekające do żywego zgryzoty sumienia przeszkadzały zasnąć spokojnie. Ustało wycie i ryczenie drapieżnych zwierząt — ani się żadne z nich poważyło przerwać łagodny sen niewinnej, której strzegli anieli niebios.

ROZDZIAŁ XIII.

Ita w samotności.

Brzask rannej jutrzenki przebudził Itę ze snu orzeźwiającego. Pobożna modlitwa poranna, jak zwykle, była pierwszem jej zatrudnieniem, tego dnia modliła się z szczególną uroczystością. Ptastwa gromady liczne lubemi głosy wtorowały wdzięcznym wynurzeniom błagającej. Cichą odmawiała modlitwę, lecz powietrzni śpiewacy na gałązkach i konarach, jak gdyby rozumieli, o co błaga Boga, głośno i uroczyście powtarzali jej pacierze, niby ów chór dziewic zakonnych, kiedy z prawdziwą pobożnością ducha nucą swe święte pienia Bogu poświęcone.

W świętem usposobieniu powstała i zajęła się wyszukaniem sobie zakątka o tyle wygodnego, aby w nim mogła dłuższy czas zamieszkać. Niedaleko od miejsca, gdzie nocowała, z ponad gołych skał spadała świeża jak kryształ czysta woda źródlana. U stóp skał było miejsce dosyć przestronne, obrosłe trawą i świeżemi ziołami, okolone z drugiej strony gęstemi jodłami. Tu postanowiła Ita pozostać i w cieniu najgrubszej jodły, zbudować sobie chatkę. Lecz gdzież zaś sposób, aby kobieta hrabskiego rodu była w stanie delikatnemi rękami i słabemi ramiony, bez narzędzi i środków pomocnych zbudować sobie, chociażby tylko malutką chatkę?

Stare przysłowie bardzo powiada stósownie: że niedostatek uczy modlitwy; on także i pracować nauczy.

Ita nie trawiła daremnie czasu na niepotrzebnych namysłach, lecz wzmocniona rannym pacierzem w swej ufności ku Bogu, zakrzątła się około nagromadzenia gałęzi, krzaków, kory i cokolwiek jej wpadło pod rękę, a zdatne było do zamierzonego budowania. Poznosiła to wszystko pod swą starą jodłę. W miejscu bardzo rzadko lub całkiem nieodwiedzanem od ludzi niedaleko szukała podobnych rzeczy; już w pierwszy dzień przysposobiła sobie mały zapas. Lecz praca tak niezwykła i przytrudna zrodziła oczywiście potrzebę posiłku, a głód coraz bardziej dawał się we znaki. Ita, która już z rana na widok wesołego ptastwa wszelkiej troski o wyżywienie zaniechała, uklękła teraz, błagając Boga z najżywszą ufnością o pomoc i ojcowskie błogosławieństwo, a prośba jej była połączona z taką otuchą, jak gdyby stół zastawiony miała przed sobą. Poczem ojcowską ręką Boga pro-

wadzona, mimowolnie, niewiedząc co ją spotka, zrobiła kilka kroków, a wnet się ujrzała na pagórku nachylonym ku południu, gdzie znalazła pełno najśliczniejszych dojrzałych poziomek. O ile łaknącem tego nieocenionego pokarmu było jej ciało, pierwej jednak zwróciła wdzięczne swe uczucia do Boga. „Nieskończenie, wszechmocny, najmędrszy i najlepszy Boże! nigdy wśród zamku mojego nie miałabym była tyle sposobności poznać i ocenić wielkość Twej wszechmocy, głębokość niedocieczoną Twej mądrości i Twą dobroć ojcowską, jak tu w tej samotności. Cudownym zaprawdę jesteś o Panie! i Twe zrządzenia także cudów pełne, najcudowniejszą jest Twa miłość nieograniczona ku Twoim dzieciom!“

Taki był jej pacierz, który ukończywszy zabrała się wesoło do spożycia daru Bożego. Znalazła też za chwile bardzo wiele czernic; miała więc żywność wystarczającą na jakiś czas. Nazbierała sobie pięknych jagód, dłoń zastąpiła łyżkę, a łzy wdzięczności i uciechy osładzające ten skromny pokarm, wystarczyły zamiast wina i cukru. Obiad, który jej dobroć Boga zgotowała, zdawał się jej smaczniejszym nad wszystkie stucznie przyrządzone potrawy, których używała na zamku. Zapewnie modlitwa jej poobiednia była serdeczna; szczerze dziękowała za nasycenie.

Wzmocniona posiłkiem jakby z nieba zesłanym, resztę dnia tego strawiła Ita na pracy. Noc zastała ją przy układaniu i porządkowaniu zasobów zgromadzonych do zbudowania chatki. Przestała pracować.

Znużone członki potrzebowały spoczynku, a przecież nie inaczej, jak klęcząc na modlitwie postanowiła zakończyć ten pierwszy dzień, w którym doznała tyle cudownego błogosławieństwa niebios. Po skończonej modlitwie dopiero udała się na spoczynek pod swą starą jodłę, pod którą sobie była pierwej przygotowała zagłówek z miękkich gałązek jodłowych i suchego mchu. Spokojny sen pod ojcowską opieką niebios, zawarł po drugi raz znużone jej powieki. Następny dzień nie był tak pogodny, słońce wyjrzało nie tak jasno z po za wysokich Alpów jak wczoraj. Czas świtania pochmurny przepowiadał deszcz niebawem. Ita zaś zbudziła się ze snu równie wesoła jak wczoraj, a widząc słońce czerwonawe, ucieszyło ją bardzo, że nieba pobłogosławiły obficie wczorajsze jej starania.

Po rannym pacierzu, którym siebie i swą pracę z prawdziwą pobożnością Bogu poleciła, prosząc Go, by jej po ojcowsku błogosławił, rozpoczęła budowanie swej chaty. Kilka mocnych konarów jodłowych, umocowała o ile jej sił starczyło prostopadle w ziemi, i przywiązała je w górze do spadających starej jodły gałęzi, które były tak gęsto rozrosłe, iż same przez się dosyć dobry dach stanowiły. Pomiędzy temi i palami poukładała bez wszelkiej trudności większe i mniejsze gałęzie i kawałki kory, które powiązała i posplatała wierzbiną i gałązkami. Z uciechą patrzała, jak powstawała jedna ściana po drugiej; w końcu ujrzała się otoczoną czterema ścianami. Byłoć to wprawdzie jak na początek, mieszkanie wątłe i dość przezroczyste, lecz za to je codziennie więcej wzmacniała.

Wplatała ciągle w ściany coraz więcej młodych gałązek jodłowych, zapychała mchem, aż się jej w końcu udało powstrzymywać zupełnie przeciąg ostrego i zimnego powietrza. Widząc, że jeśliby ulewny deszcz dłużej padał, dach niedostatecznie ją ochraniał, powiązała go mocno z bocznemi ścianami, pokryła dobrze korą i grubymi konarami tak dalece, że skoro nadeszła jesień, chatka jej była całkiem skończona. W nowem pomieszkaniu znalazła dostateczną ochronę od deszczów i wiatrów, od śniegu i zimna, i od wszelkich burzliwych chwil zimowych.

W ścianie zwróconej ku południu zostawiła u góry mały otwór, aby dać przystęp orzeźwiającemu i ogrzewającemu światłu słońca i jasności dziennej. Drugi zaś otwór u dołu cokolwiek większy zastąpił miejsce drzwi; był jednak tak nizki, że trzeba się było dobrze nachylić i odsunąć sterczące i posplatane gałęzie, aby było można wyjść i wejść. Opadające nazad gałęzie same ten otwór zamykały.

Ta mała i wątła chata, bez drzwi i okien, położona w dzikim lesie oddalonym od wszelkiego towarzystwa ludzkiego, stała się teraz mieszkaniem owej hrabiny, której się otwierały wprzódy bramy sztucznie zbudowane, która zamieszkiwała wspaniałe pokoje, otoczona i prawie ubóztwiana od licznej służby.

Zawsze jednak niewinność i cnota doznaje lepszego bytu i zadowolnienia w samotności, chociażby pod najbiedniejszą strzechą, niżeli w pałacach i zamkach prześladowana od występnych zbrodniarzy. I Ita tego doznała. Była albowiem weselsza w swej biednej chatce niż w ostatnich czasach na zamku Toggenburskim.

Mały krzyż z dwóch kijów zrobiony, który w swej chacie zawiesiła, przypominał jej, ile razy na niego spojrzała, niewypowiedzianą miłość Zbawiciela, Jego najwyższą cnotę i doznane tak wielkie męki. Zdawało się jej, iż ją naucza z krzyża, że się przez boleści, których doświadcza, do Niego dostanie.

Niedaleko swej chaty zbudowała jeszcze drugi większy krzyż, a w czasie pogodnym odprawiała u stóp onegoż swe nabożeństwo. Krzyż stał się dla Ity owym przewodnikiem królewskim do nieba, stał się jej jedyną pociechą na ziemi, i temci on jest zaprawdę dla każdego człowieka, jeśli mu się dostanie w udziale z wyroku Boga.

Widzimy Itę cierpliwą w każdem cierpieniu, najdokuczliwsze przeciwności przyjmuje z rąk ojcowskiej mądrości Bożej z zupełnem zadowolnieniem. Nie zaniedbuje jednak żadnych środków, udzielonych od Boga aby swe ciało wzmocnić i utrzymać jak najdłużej zdolnem do służby Boga. W tym celu nazbierała sobie zapas rosnącego w około mchu, ususzyła go na słońcu, i przyrządziła sobie z niego posłanie.

Lecz co tu robić, aby mieć wystarczający na czas długiej zimy pokarm, gdy ziemia zamarza i śniegiem pokryta przez kilka miesięcy jest nieurodzajną? Podobne myśli takich tylko ludzi mogą udręczać, którzy w zanadto wielkiem zaufaniu w ojcowską dobroć Boga strawiliby byli całe lato bez troski, nie oglądając się na nieurodzajny czas zimowy. Lecz Ita, owa troskliwa gospodyni bynajmniej tego nie doznawała. Podobna do skrzętnej pszczółki lub mrówki, już na początku lata zabiegała na czas zimy. Nazbierała znaczną ilość czernic, ile tylko dojrzałych znalazła, i suszyła takowe na słońcu. Tak samo przyrządzała poziomki. Widząc, iż wiele ziół mają grube mięsiste korzenie, wykopywała je pilnie kończystemi patykami, a co oszczędziła z codziennego spożycia, ususzone chowała na zimę.

Do tego przybierała malin, których było w obfitości, i później dojrzewających jagód tarnkowego drzewa. Chata była prawie za małą, ledwie zmieściła w niej swoje zapasy. Bez troski oczekiwała zimy. Miała żywność i pomieszkanie, opieka niebios czuwała nad nią i Bóg wszechmocny strzegł ją od szkodliwych wypadków.

Gdy zima nadeszła, Ita nie oddała się bynajmniej próżnowaniu. Uznała za swą powinność, przyrządzić sobie, skoro może niektóre potrzebne i pożyteczne rzeczy, a wiedziała też także, że porządne zatrudnienie bardzo się przyczynia do zdrowia.

Podczas późnej jesieni nazbierała mchu i cienkich pręcików, naokrawała zaostrzonem kamieniem świeżej kory z drzew nieurodzajnych i krzaków. Łyko moczyła w wodzie, a gdy zmiękczało, porozdzielała je na włókna i ususzyła na świeżem powietrzu.

W zimie, gdy było lżejsze powietrze, siadywała u południowej ściany chatki i zajmowała się pracą. Z miękkiego mchu i włókien łykowych utkała sobie kilka wygodnych i ciepłych kołder, z nagromadzonych prętów pletła nowe i coraz lepsze koszyki; zaostrzonym łupnym kamieniem wyrabiała mniejsze kawałki miękkiego drzewa na naczynia do picia. Tak się zatrudniając, zrobiła wiele rzeczy które dla niej w samotności bardzo były pożyteczne.

W czasie takich zatrudnień wspominała sobie z wdzięcznością na swych kochanych rodziców, którzy zwykli byli mawiać do swych dzieci: „Uczcie się wszystkiego wedle możności, kochane dzieci! bo nie wie człowiek, co go spotka i w jakiej będzie potrzebie. Wezwyczajajcie się do pracowitości, bo ta jest lepszą nad wszelkie bogactwa i skarby, które można łatwo utracić. Pracą jedynie można sobie w złym razie zapewnić utrzymanie.” Prawdę tych napomnień głęboko teraz uznała.

Wszyscy rodzice powinni jak najczęściej napominać podobnie swe dzieci; chociaż może lekkomyślne dzieci zamożnych rodziców w mniemaniu, że ich bogactwa i pieniądze od wszystkich złych wypadków zabezpieczają, za przesadzoną surowość sobie mają, gdy usłyszą podobne napomnienia. Gdyby Ita w swej młodości była tego zdania, gdyby była marnowała czas na zabawach, niezawodnie musiałaby była zaginąć w tym lesie, nie umiejąc pracować. Wyborna to rzecz, uczyć się pilnie w młodości i wezwyczajać się do pracy, bo częstokroć nie masz innego sposobu uchronić się od wielkiej nędzy a może i od zupełnej zguby, jedynie tylko pilnością i zręcznością.

Bywały jednakże dni, a nawet i całe tygodnie, w których Ita dla ciągłego zimna prawie nic nie mogła pracować, a gdy spadł głęboki śnieg, zaledwie zdołała utrzymać utorowaną dro-

gę do swego źródła, które nigdy całkiem nie zamarzało. W takich dniach oddawała się cichej świętej pobożności, zatrudniając się całkiem myślami o Bogu.

Mały drewniany krzyż przypominał jej co chwila, Tego, który i za nią także krew swoją przelał i dla zbawienia ludzkiego chciał być umęczony. Przebiegała w pamięci zbawienne nauki Zbawiciela, znajdując w tem tak obfity pokarm dla swego pobożnego serca, że chociaż miała obok siebie żywnością napełnione koszyki, zapominała o cielesnym pokarmie. Natura cała, nawet wśród najsroższej zimy, nastręczała jej naokoło dosyć przedmiotów do rozpamiętywania. W leciuchnych płatkach śniegu, w twardej skorupie lodu, w woni szklącej się na drzewach i krzakach, i innych podobnych przedmiotach widziała cuda i czyny wszechmocności i mądrości Boga tak samo, jak w zielonych drzewach i cudnych kwiatach wiosny, jak w wybornych owocach lata i jesieni. Niemniej i wtenczas czuła usposobione pobożne swe serce do wyznania chwały i czci Najwyższego.

Jak dla każdego człowieka, tak też i dla niej były jednak piękne dni wiosny najprzyjemniejsze, kiedy ogrzewające promienie słońca wszystko naokoło niej zaczynały ożywiać. Wtenczas to zatapiała się w podziwieniu rozmaitych pięknych ziół i świeżych gałązek drzew i krzaków obsypanych woniejącem kwieciem. A rozpamiętywanie wspaniałych dzieł Boga taką prawie niebiańską siłą i wesołością napawała jej ducha, że niejako i jej pobożność i bogobojność zostawały ożywione. Czuła się natenczas otoczoną błogością niebieską, jak gdyby się spełniły na niej wzniosłe słowa Izajasza proroka. ,,Pan zrobił raj z tej puszczy i ogród Boży z tej okolicy dzikiej. W nim mieszka uciecha i wesołość, i brzmi echem pieni pochwalnych i dziękczynnych."

W początkach Ita najbardziej nad tem bolała, że nie mogła nawiedzać ani kościoła, ani nabożeństwa, i że nie mogła przystępować do Sakramentów świętych, któreby jej były zapewniły łaskę Bożą. Lecz wezwyczaiła się za to uważać każdą ustroń lasu jako osobną świątynię Boga, którą w każdej porze roku nowe dzieła wszechmocności, mądrości i dobroci Bożej zdobiły. Łatwo się obeszła bez ludzkiej pociechy, bo jej pociech niebieskich nie brakło. W nich miała osłodę swych cierpień, w nich czerpała zadowolnienie i pociechę w każdej porze roku. Mijały godziny, dnie, tygodnie, miesiące i lata a dla Ity upływało życie wprawdzie samotnie, lecz już na świecie była niejako błogosławioną niebios. Myśli jej były u Boga, a dusza była uczestniczką Jego chwały z aniołami i świętymi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

FANTASTYCZNE POSTACIE LUDOWE.

PRZEZ

K. Wł. Wojcickiego.

Nieprzebraną skarbnicą w poetyczne pomysły jest wyobraźnia ludu naszego W niej roją się postacie nadprzyrodzone, których żywą pamięć dotąd przechowują dawne pieśni, dawne podania. W wielu okolicach już zatarła się ich pamięć; przechowajmy więc je od zatracenia, jako piękne kwiaty wyobraźni ludowej. W tym celu podajemy kilka takich opowiadań.

I.

Smierć i bieda.

Straszne to plagi rodu ludzkiego! Bieda, dolegając i dręcząc codziennie, zatruwa życie

człowieka i świat mu obrzydza. Nędza sroższa od niej, w tem litościwsza, że przywołuje śmierć prędzej, i przy tej pomocy, zakończa nieszczęśliwy cierpienia swoje.

Bieda jest nieśmiertelną; — jak ten żywot wieczny zdobyła sobie, opowiada nam dawne podanie.

„Skoro świat powstał, zarazem i śmierć się urodziła. Kto tylko żył na Bożym świecie, jej władzy ulegał, czy to zwierzę, czy to człowiek; nie wykupił się od niej ani pan bogaty, ani biedak nie wyprosił, każdego zjadała. Dobrze też utyła, a rzucając postrach wokoło, z dumą się nadęła.

Ale na swój kłopot, śmierć spotkała się z biedą, i ta zaraz jak się do niej przyczepiła, jak poczęła z niej pić i ssać krew by pijawka, to jakby śnieg wiosenny pod słońcem, znikło sadło. Smierć straszliwie wychódła, aż w końcu zostały same tylko kości nagie, bo skóra się nawet na nich utrzymać nie mogła. Byłaby śmierć na szczęście ludzkie przepadła! Widząc, że to nieprzelewki i zginąć musi, pyta się śmierć biedy, co zechce od niej, aby się raz odczepiła, a na wszystko przystanie.

Bieda uradowana, że dobrze dogryzła śmierci, której się wszyscy ludzie tak lękali: poważną przybrała postać, nadęła się, jak ropucha i poczęła namyślać, jakie jej warunki postawić.

Wtedy śmierć upadła przed nią na kolana, złożyła kościste ręce błagalnie i zbladłemi, bez życia oczyma, które łzy rozpaczy zrosiły, wpatrywała się z bojaźnią i niepokojem w oblicze biedy, jaki wyrok raczy wydać.

Bieda, widząc śmierć tak ukorzoną, zadarła nosa w górę, i po chwili, za główny warunek położyła, aby śmierć przysięgła i dała jej cyrograf, że dopóki świat istnieć będzie, ona biedy nie zaczepi, ani jej umorzy, bo chce być zarówno z nią nieśmiertelną.

Śmierć, chociaż oddawna oddychała przeciw niej zemstą i ostrzyła na nią ostre zęby, widząc że nie ma nic do wyboru, bo zaledwie po włóczyć mogła nogami, przystała na wszystko, i cyrograf żądany podpisała na byczej skórze.

Gdy go bieda dostała do ręki, nasadziwszy czapkę na bok gwiżdżąc wesoło, poskoczyła do najbliższej wioski, pohulać sobie w karczmie u arendarza: a śmierć uczuła od tej chwili nowe siły, nowe życie. I jakkolwiek, już nie odzyskała ani mięsa, ani sadła, utraciwszy skórę, pomimo to, czerstwa i zdrowa, przebiega świat swobodnie, który niby drży na każdy jej pojaw — i ulega jej przeważnej władzy.

Obok biedy i nędza jest nieśmiertelną: ale podania ludu, często nie rozróżniają tych dwóch istot oddzielnych od siebie: są one prawie zawsze jedną tylko osobą — i dla tego słyszymy, gdy który człowiek umarł z nędzy, to mówią, „że bieda go zagryzła."

W najdawniejszych jedynie podaniach różnica Biedy od Nędzy przechowaną została

II.

Bieda chłopska.

We wsi niedaleko Narwi, po nad brzegami strumienia, co krętem łożyskiem wpadał do tej rzeki, mieszkało dwóch braci rodzonych, Jonek i Antek. Starszy Jonek po rodzicach objął gospodarstwo i pierwszy się ożenił. Antek z początku mu pomagał, potem chodził na zarobek, czas jakiś służył u dworu, a zabiegły i chciwy zebrał niemało grosiwa, wreszcie ożenił się z córką bogatej wdowy. Przez ten czas Jonkowi, Pan Bóg jakoś nie darzył, chociaż był człowiek pobożny, pracowity i miłosierny.

Zachorzała mu żona, ledwie się biedaczka podniosła z ciężkiej choroby: zapadło na zimnicę czworo dziatwy.

Jonek co ostatni grosz na ratunek swojej kobiety wyłożył, teraz musiał pożyczyć na wysoki procent od brata. Niedosyć jednej niedoli — zdechły mu dwie krowy, wół okulał, koń zdechł na nosaciznę. Na dobitkę nieszczęścia, grad mu wybił oziminę.

Tyle klęsk, złamały biednego Jonka: pożyczał a pożyczał od brata. Antek dawał, bo zapragnął chaty i gospodarstwa bratowego: jakoż niedługo, tenże po obrachunku, musiał się wynieść z ojcowizny, i osiadł w pustej chacie na samym końcu wioski, gdzie dawniej pastuch gromadny mieszkał, co go wilcy tej zimy rozszarpały w lesie, gdy poszedł po drzewo.

Płakał biedny Jonek jak bóbr rzewnemi łzami, i żona i dzieci siedmioro, gdy ostatni raz ucałował próg chaty, gdzie się urodził.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DODATEK DO HISTORYI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

DEKLARACYA NIEPODLEGŁOŚCI.

DEKLARACYA NIEPODLEGŁOŚCI.

Deklaracya reprezentantów Stanów Zjednoczonych Ameryki, zgromadzonych w kongresie, przyjęta w dniu 4 lipca, 1776 roku.

Jeżeli w biegu wypadków ludzkich, zostaje potrzeba aby jeden naród rozerwał węzły polityczne łączące go z innym narodem i zajął pomiędzy mocarstwami ziemi odrębne i równe stanowisko, do których jest uprawniony przez prawa natury i Boga, natenczas słuszną jest rzeczą wobec ludzkości, aby oświadczył przyczyny, które go zniewalają do rozłączenia.

Utrzymujemy że prawdami widocznemi są — że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi; że Stwórca nadał im pewne nienaruszalne prawa; że do nich należą życie, wolność i dążność za szczęściem. Że, aby zabezpieczyć te prawa, zostały między ludźmi ustanowione rządy, których słuszna władza została uznaną przez sam lud, że jeżeli jakikolwiek rząd sprzeciwia się tym celom, jest prawem ludu zmienić lub znieść go, i ustanowić nowy rząd, kładąc podstawę jego na takich zasadach i organizując moc jego w taki sposób, jaki podług jego zdania najprędzej przyczyni się do jego bezpieczeństwa i szczęścia. Rozum zresztą nakazuje, że rządy długo istniejące nie powinny być zmieniane dla lekkich i mijających przyczyn, i następnie okazało doświadczenia, że ludzkość woli cierpieć, jeżeli złe może być cierpianem, aniżeli sobie samej wymierzyć sprawiedliwość przez zniesienie prawideł, do których jest przyzwyczajona. Jeżeli zaś cały szereg nadużyć i uzurpacyi, które zawsze to samo mają na celu, chce lud koniecznie stawić pod absolutny despotyzm, prawem jego, jego powinnością jest znieść taki rząd i zabezpieczyć się w nową straż dla przyszłego swego bezpieczeństwa. Kolonie tutejsze ponosiły takie cierpienia cierpliwie a teraz nastała potrzeba, która ich zmusza do zmiany dawniejszego systemu zarządu. Historya teraźniejszego króla Wielkiej Brytanii jest historyą powtarzanych krzywd i uzurpacyi, których bezpośrednim celem jest ustalenie absolutnej tyranii nad tymi stanami. Aby to udowodnić, podajemy światu fakta.

Nie chciał potwierdzić praw najzdrowszych i najpotrzebniejszych dla dobra publicznego. Nie zezwolił, aby gubernatorowie jego uchwalali prawa koniecznie potrzebne, wyjąwszy gdy z nie mi tak długo się wstrzymywali, aż mogli uzyskać jego pozwolenie, a jeżeli prawa podobne zostały przez gubernatorów wstrzymane, wcale się oto nie troszczył.

Nie chciał uchwalić innych praw potrzebnych dla wygody wielkich okręgów ludności, wyjąwszy jeżeli ludność ta chciała się wyrzec reprezentacyi w legislaturze — prawa dla niej nieoszacowanego a straszliwego dla tyranów tylko.

Zwołał ciała prawodawcze w miejscowościach niezwykłych, niewygodnych i oddalonych od składów publicznych dokumentów, w tym tylko celu aby je zmusić do uznania środków, które jemu się podobały.

Izby reprezentacyjne rozwiązywał bardzo często, ponieważ z męzką stałością opierały się jego napadom na prawa ludu.

Przez długi czas po takich rozwiązaniach, nie zezwalał na wybór innych, wskutek czego władze prawodawcze, nie mogące być zniesione, musiały dla wykonania swych obowiązków, powrócić do ludu, którego byli reprezentantami i całe państwo w tym czasie pozostawiając wystawione na niebezpieczeństwo z po za granicy i na rozruchy wewnętrzne.

Usiłował wstrzymać zaludnienie tych stanów i w tym celu sprzeciwiał się prawom naturalizacyi cudzoziemców; nie chciał uchwalić praw innych, któreby zachęcały do imigracyi do tego kraju, znosił warunki na których mocy można było się stać właścicielem gruntów.

Stawiał przeszkody administracyi sprawiedliwości nie uznając praw potrzebnych do ustanowienia władz sądowych.

Sędziów zrobił zawisłymi od swej woli, o ile to się tyczy dzierzenia ich urzędów, kwoty i płacy ich pensyi.

Utworzył mnóstwo urzędów nowych i przysłał tu tłumy urzędników, aby niepokoić nasz lud i trwonić jego własność.

Utrzymywał pomiędzy nami armie stojące bez pozwolenia władz prawodawczych.

Starał się oto aby wojsko było niezależnem i mogło rozkazywać władzom cywilnym.

Wraz z innymi chciał nas uczynić podwładnymi prawodawnictwu sprzeciwiającemu się naszej konstytucyi i nieuznanemu przez nasze prawa, przez potwierdzenie czynności tego prawodawnictwa.

Za utrzymywanie pomiędzy nami wielkich oddziałów uzbrojonych ludzi;

Za obronę ich przez procesa dla oka od kar

za jakiekolwiek morderstwa, które popełniły na mieszkańcach tych tu stanów;

Za zniesienie naszego handlu z wszystkiemi częściami świata;

Za nałożenie na nas podatków bez naszego pozwoleństwa;

Za pozbawienie nas w wielu wypadkach korzyści procesu przez "jury;"

Za transportowanie nas po za morze, aby nas sądzić za wymyślone przestępstwa;

Za zniesienie wolnego systemu angielskich praw w sąsiedniej prowincyi, ustanowienie tam rządu samowładnego, rozszerzenie jego granic, tak, aby z niej zrobić przykład i zdolne narzędzie do wprowadzenia tej samej władzy absolutnej do tych kolonii;

Za odebranie nam charterów, zniesienie najważniejszych praw i zniesienie fundamentalnej formy naszych rządów;

Za zniesienie naszych własnych władz prawodawczych i oświadczenie, że nie posiadają przywileju ustanowienia dla nas praw w wszelkich przypadkach.

Wyrzekł się rządu nad nami, gdyż odjął nam swą protekcyę i wytoczył nam wojnę. Rabował nasze wody, pustoszył nasze wybrzeża, palił nasze miasta i zniszczył życie naszego ludu. Przesyła obecnie wielkie armie przekupnych cudzoziemców, aby uzupełnić dzieło śmierci, pustoszenia, tyranii, już rozpoczęte pod warunkami okrucieństwa i zdrady, jakie zaledwie popełniano w stuleciach barbarzyńskich, a które nie są godne naczelnika ucywilizowanego narodu. I zmusił naszych ziomków; zabrał ich na morzu, aby z bronią w ręku występowali przeciw swej ojczyznie, stali się katami ich przyjaciół i braci, lub też sami padali od ich rąk.

Wzniecił powstanie domowe między nami usiłował przywieść na mieszkańców nad naszemi granicami nielitościwych dzikich Indyan, o których wiadomo, że bez wyjątku prowadzą wojnę i mordują bez wyjątku ludzi każdego wieku, płci i położenia.

W każdym przypadku takiego uciemiężenia prosiliśmy o ulgę jak najpokorniej; na powtarzane petycye odpowiadano nam powtórnemi zniewagami. Książe którego charakter jest tak oznaczony przez czyny godne tyrana, nie jest zdolnym być rządcą wolnego ludu.

Nieubliżyliśmy także brytańskim naszym braciom. Przestrzegaliśmy ich od czasu do czasu, kiedy władza ich prawodawcza niesłuszną nad nami rozciągała juryzdykcyę. Przypomnieliśmy im okoliczności naszej emigracyi i naszego tu osiedlenia. Odwołaliśmy się do wrodzonej im sprawiedliwości i wspaniałomyślności i zaklinaliśmy ich na węzły wspólnego pokrewieństwa, aby poprzestali tych uzurpacyi, które niezawodnie rozerwią nasze stósunki wzajemne. Lecz i oni byli głuchymi na głos sprawiedliwości i pokrewieństwa. Dla tego musimy się poddać konieczności, która żąda naszego rozłączenia — i będziemy ich uważali jak resztę ludzi — za nieprzyjaciół w wojnie — za przyjaciół podczas pokoju.

My dla tego, reprezentanci Stanów Zjednoczonych Ameryki, zgromadzeni na jeneralnym kongresie, odwołując się do Najwyższego Sędziego co do prawości naszych zamiarów w imieniu i za upoważnieniem dobrego ludu tych kolonii uroczyście oświadczamy i ogłaszamy, że złączone te kolonie powinny być prawnie wolnymi i niezależnymi stanami; że się wyrzekają wszelkiej zależności od korony brytańskiej i że wszystka łączność polityczna pomiędzy nimi i państwem Wielkiej Brytanii jest i powinna być rozwiązaną, i że jako wolne i niezależne stany mają prawo wydawać wojnę, zawierać pokój i traktaty, ustanawiać handel i czynić wszystkie sprawy i rzeczy, do jakich niezależne stany mają prawo. Iż będziemy popierali tę deklaracyę ze stałą ufnością w obronę Bozkiej Opatrzności, wspólnie jedni drugim przysięgamy na nasze życie, nasz majątek i nasz święty honor.

Podpisani:

JOHN HANCOCK, z Massachusetts.

New Hampshire.

Josiah Bartlett,
William Whipple,
Matthew Thornton.

Massachusetts Bay.

Samuel Adams,
John Adams,
Robert Treat Paine,
Elbridge Gerry.

Rhode Island.

Stephen Hopkins,
William Ellery.

Connecticut.

Roger Sherman,
Samuel Huntingdon,
William Williams,
Oliver Wolcott.

New York.

William Floyd,
Philip Livingston,
Francis Lewis,
Lewis Morris.

New Jersey.

Richard Stockton,
John Witherspoon,
Francis Hopkinson,
John Hart,
Abraham Clark.

Pennsylvania.

Robert Morris,
Benjamin Rush,
Benjamin Franklin,
John Morton,
George Clymer,
James Smith,
George Taylor,
James Wilson,
George Ross.

Delaware.

Caesar Rodney,
George Read,
Thomas M'Kean,

Maryland.

Samuel Chase,
William Paca,
Thomas Stone,
C. Carroll of Carrollton.

Virginia.

George Wythe,
Richard Henry Lee,
Thomas Jefferson,
Benjamin Harrison,
Thomas Nelson, Jr.
Francis Lightfoot Lee,
Carter Braxton.

North Carolina.

William Hooper,
Joseph Hewes,
John Penn.

South Carolina.

Edward Rutledge,
Thomas Heyward, Jr.
Thomas Lynch, Jr.
Arthur Middleton.

Georgia.

Button Gwinnett,
Lyman Hall,
George Walton.